

# NOWINY TYGODNIA

SOBOTA  
Nr 17 (361)  
10. V. 1957 r.

DODATEK SPOŁECZNO-KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH“

Władysław St. Reymont

## „WYJAZD“\*)

Zostali sami.  
Janka patrzyła w okno; Grzesiekiewicz czerwony, rozstrojony, dziwny, zaczął coś mówić i popijał kawę małymi łykami, wreszcie wypił ją od razu, filiżankę odsunął, aż się przewróciła wraz ze spodkiem na stół.

Janka roześmiała się z tej gwałtowności i z miny, z jaką się tłumaczył.  
— Niech się pani nie dziwi, ale w takiej chwili człowiek by lampę poiknął nie zauważysz...

— Trudno by było — odpowiedziała i znowu ją śmiech pusty i bezmyślny zatrasał.

— Pani się ze mnie śmieje?... — zapytał patrząc jej niespokojnie w oczy.

— Nie, tylko tak mi komicznie wydawała się myśl poiknięcia lampy.

Milczeli. Janka skubała abażur, a Grzesiekiewicz szarpał rękawiczki i bezmyślnie, odruchowo przygrzyzał sobie wąsy; wzruszenie dawało go po prostu.

— Cieżko mi... okropnie mi

ciężko... — zaczął, podnosząc na nią oczy błagalnie.

— Dlaczego? — zapytała krótko i wymijająco.

— No, bo... bo... Jak Boga Kocham, nie wytrzymam już dłużej!... Nie, już nie mogę się dłużej męczyć, powiem po prostu: Kocham panią i proszę o jej rękę! — zawołał głośno i aż odetchnął z ulgi, ale uderzył się w czoło i biorąc rękę Janki zaczął znów:

— Kocham panią dawno, bałem się pani mówić o tym i teraz także nie umiem się wygadać, nie umiem tego tak określić i wypowiedzieć, jakbym chciał... Kocham panią i błagam, bądź moją żoną... Pocałował ją gorąco w rękę i wpatrzył się w nią swoimi niebieskimi, pocziwymi oczyma, z których buchało ślepe przywiązanie i miłość szczerą i głęboką. Usta drżały mu nerwowo i blade pokryła twarz.

Janka podniosła się z krzesła i patrząc mu prosto w oczy odpowiedziała wolno i po cichu:  
— Nie Kocham pana.  
Zdenerwowanie gdzieś znik-

nęło; wiedziała, że ta chwila oczekiwania już się zaczęła, więc była gotowa. Spokojnie zdeterminowanie przeglądała w jej oczach chłodno patrzących.

Grzesiekiewicz odsunął się gwałtownie, jakby go kto uderzył silnie w pierś, ale powrócił na miejsce i nie rozumiejąc jeszcze znaczenia słów usłyszanych, mówił drżącym głosem:

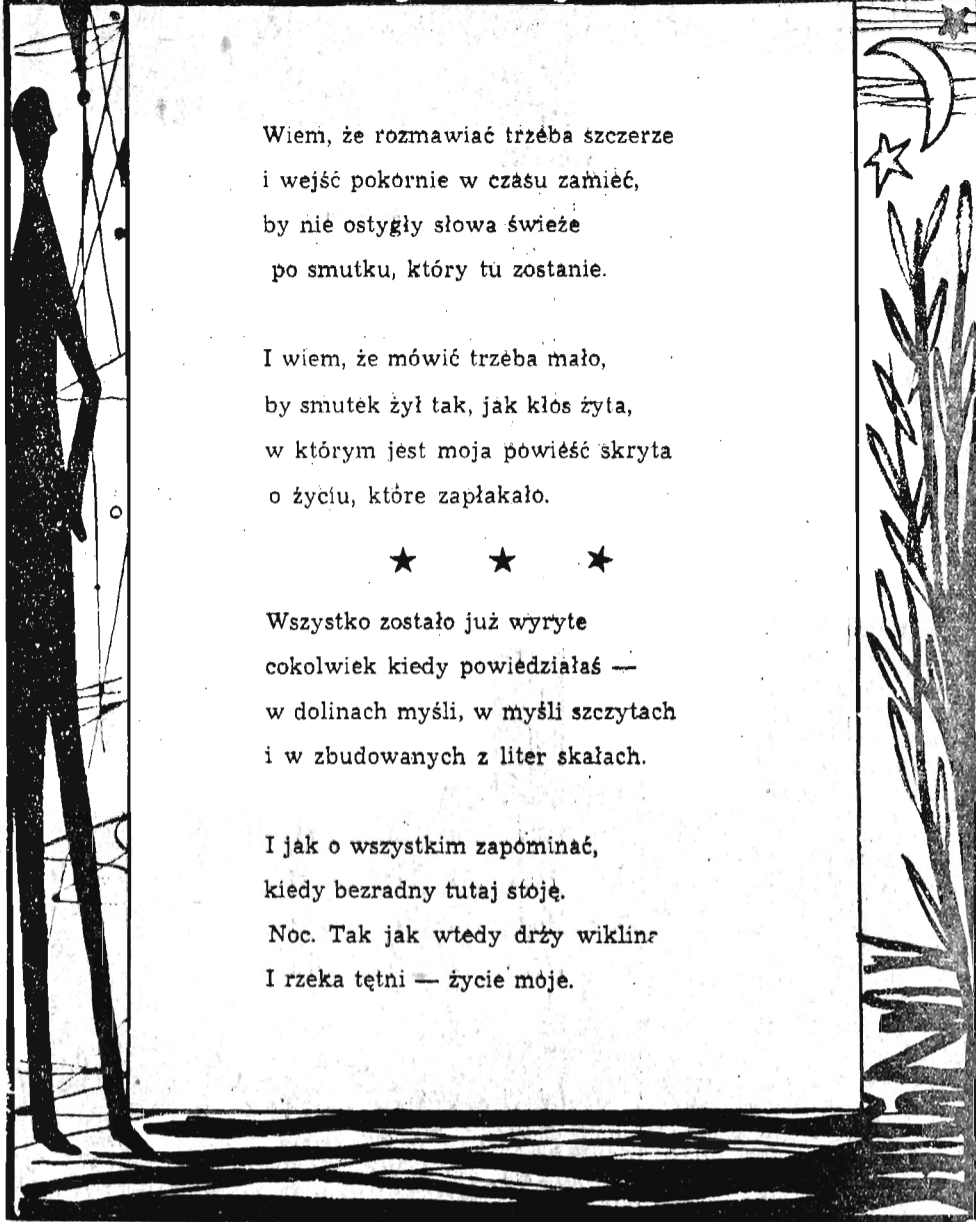
— Panno Janino... bądź pani moją żoną... Kocham panią!... — Nie Kocham pana... nie mogę przeto za pana wyjść... nie pójdę wcale za męża... — odpowiedziała tym samym głosem, ale przy ostatnim wyrazie głos jej zadrgał jakimiś akcentem litości dla niego.

— Jezus Maria! — wykrzyknął Grzesiekiewicz chwytając się za głowę. — Co pani powiedziała?... Co to jest?! Pani nie pójdzie za męża... nie chce

(Ciąg dalszy na str. 2)

\*) W ubiegłym tygodniu miała 90 rocznicę urodzin Wł. St. Reymonta. W związku z tym zamieszczamy dzisiaj fragment powieści „Komediantka“.

WIEŚLAW KULIKOWSKI  
Na zwyczajnym miejscu



Wiem, że rozmawiać trzeba szczerze  
i wejść pokornie w czasa zamięć,  
by nie ostygły słowa świeże  
po smutku, który tu zostanie.

I wiem, że mówić trzeba mało,  
by smutek żył tak, jak kłós żyta,  
w którym jest moja powieść skryta  
o życiu, które zapłakało.

★ ★ ★

Wszystko zostało już wyrte  
cokolwiek kiedy powiedziałaś —  
w dolinach myśli, w myśli szczytach  
i w zbudowanych z liter skałach.

I jak o wszystkim zapominać,  
kiedy bezradny tutaj stoję.

Noc. Tak jak wtedy drży wiklinę  
I rzeka tętni — życie moje.

## Ruch amatorski: krok naprzód czy wstecz?

**S** o co dzieje się dziś w ruchu amatorskim nie może nie napawać troską i obawą o jego losy. Wiele znanych i cenionych zespołów rozwiązało się, inne podupadły, tak że nic o nich nie słychać.

Jeszcze niedawno mieliśmy się, czym pochwalic; zespoły króśnieńskie biorące czołowe miejsca w eliminacjach centralnych, wyjeżdżające nawet za granicę, odznaczony krzyżem zasługi zespół z Twierdzy, krakowski zespół ze słynnym „Weselem” Kunysza, ba nawet mały zespół ukraiński z Komańczy zwracający powszechną uwagę na dożynkach w Warszawie. Na eliminacjach wojewódzkich, aż miło było patrzeć na scenę, z której płynęły melodie starych rzeszowskich pieśni, tańców ludowych, lub rozlegały się wypowiedziane przez starych i młodych ludzi ze wsi i miasteczek naszego województwa słowa Fredry czy Zapolskiej.

Dziś o Twierdzy, Kraczkowej, Odrzykoniu nic nie słychać, zespoły zamaryły lub rozpadły się. Podobnie stało się z dziesiątkami innych. Nowopowstałe grupy, do których przyłączyła się znaczna część „starych” porzuciły dawny repertuar na korzyść „Zalotów na kwaterze”, czy „Uiana i miłnarki”.

Czy to nie zmusza do zastanowienia?

Nie jestem zwolennikiem repertuaru, który można określić słowami: „drgęta mowa”. Ale czy „popuszczanie cugli” i pozostawienie zespołów samym sobie nie doprowadza do obniżenia się ich poziomu artystycznego, do triumfu bezwartościowej szmiry?

Popatrzmy na to, co grają i co chcą grać nasi amatorzy. Przeglądajmy listy przychochodzące do oddziałów kultury: do poradni kulturalno - oświatowej przy WDK. Autorzy ich proszą o teksty starych „kawałków” beznadziejnych pod względem artystycznym, a w

Sytuacja w jakiej znalazł się obecnie nasz ruch amatorski jest przedmiotem gorących sporów i dyskusji toczących się w środowisku kulturalnym naszego województwa. Zmiany w polityce kulturalnej, zarzucenie starych metod „kierowania” kulturą odbiły się poważnie na dalszym rozwoju i charakterze zespołów amatorskich. W związku z tym wielu ludziom nasuwają się wątpliwości, czy droga po jakiej kroczy obecnie ruch amatorski jest właściwa i słuszną, czy niektóre zachodzące w nim zjawiska nie świadczą o cofaniu się, zaprzeczaniu dorobku ubiegłych lat itp. Dają się nawet słyszeć głosy wręcz domagające się przywrócenia

treści często wręcz szkodliwych.

Ofensywa szmiry trwa. Powie ktoś, że nie jest tak źle, że przecież oddziały kultury mogą nie zezwolić na wystawienie „okazów” tego rodzaju, że działa przeciw Urząd Kontroli Prasy i Widowisk, który ma decydujący wpływ na to, by ta lub inna sztuka mogła wejść na scenę.

Niestety nie zawsze jest to możliwe. Urząd Kontroli Prasy i Widowisk ogranicza się jedynie do zakazu wrogich lub wyjątkowo bezwartościowych utworów, inne niemal równie beznadziejne mają drogę na scenę amatorską otwartą. Niektóre zespoły grają co im się żywnie podobą, nie pytając o zdanie ani UKPiW ani oddziałów kultury. Zresztą jest jeszcze i inny sposób. Byłem świadkiem rozmowy, podczas której kierownik jednego z zespołów wiejskich opowiadał o dużych dochodach uzyskiwanych z przedstawień przez jego zespół. Ktoś kto wiedział, że zespół ten wystawiał Baltusza, zapytał — jak to, to „Pieją koguty” mają takie powodzenie?

— Jakże tam „koguty” — zaśmiał się chłop. „Koguty” to myślimy tak dla wiały podali, a dla ludzi to gramy... i tu wymienił tytuł utworu objętego tzw. indeksem UKPiW. Wy-padki podobne zdarzają się częściej i oddziały kultury są wobec nich bezsilne.

**C**echą charakterystyczną dzisiejszego ruchu amatorskiego jest kurs na teatr. Rezygnuje się natomiast z pieśni i tańca a zwłaszcza pieśni i tańców regionalnych. W powiecie sanockim np. nie ma już obecnie żadnego zespołu wiejskiego o charakterze regionalnym. Rozpadł się tam ambitny zespół z Prusieka, nie pracuje zespół w Komańczy. Niewiele lepiej jest w jasielskim, gdzie tradycję wiejską kultuwują tylko dwa czy trzy zespoły szkolne.

Rozumiem, że zespoły regionalne są kosztowniejsze, wymagają więcej pracy, opieki. Poprzednio otrzymywały ją. Niejednokrotnie w niewystarczającej mierze — ale otrzymywały. Obecnie z braku jakiegokolwiek pomocy działalności ich zamiera.

Sądzę, że z tych zespołów nie można rezygnować. Pieniądza nie ma, ale powinny się znaleźć.

Winni się znaleźć także właściwi fachowi ludzie, którzy mogą dobrze pokierować zespołami. Tak jakos dziwnie się składa, że w poważnej części zespołów kierownikami są „organizatorzy”. Nie uwłaczając im nie sądzę, by właśnie oni byli specjalnie predestynowani do tej roli, tym bardziej, że niedawno widziałem i słyszałem jak jeden z takich panów kierow-

(Ciąg dalszy na str. 3)

starego stylu pracy, zarzuty, że decentralizacja nie spełniła pokładanych nadziei, a wręcz przeciwnie doprowadziła do chaosu i zdezorganizowania ruchu, który zaczyna ulegać wstecznyemu holującemu bezwartościowej szmirze i „ubawowi” kierunkom.

Ponieważ problem jest rzeczywiście poważny, chcemy zainteresować nim naszych Czytelników i dlatego zamieszczamy dziś 2 różne wypowiedzi na ten temat. Mamy nadzieję, że przyłączą się do nich głosy działaczy kulturalnych, członków zespołów i tych wszystkich, którym sprawa rozwoju ruchu amatorskiego leży na sercu.

**K**ilka lat temu jury powiatowych eliminacji wiejskich zespołów artystycznych w jednym z miast naszego województwa miało nie lada kłopot z przyznaniem pierwszego miejsca. Okazało się bowiem, że zespół, który na to najbardziej zasługuje, pochodził... ze wsi indywidualnej.

— Jak to, — powiedział ktoś, wiesz indywidualna? Ma być lepsza od spółdzielczej? A gdzie wyższość systemu socjalistycznego?

Z początku zapanowała konsternacja, później rada w radę, postanowiono przyznać nagrodę zespołowi „spółdzielczemu”.

— To was powinno zmobilizować do założenia u siebie spółdzielni produkcyjnej — mówił potem „czynnikiem” członkiem pokrzywdzonego zespołu. Niestety, spółdzielnia co prawda tam nie powstała, ale zespół nachodzony i zniechęcony przez natrętnych agitatorów rozpadł się.

Podaję ten stary przykład po to, by zilustrować metodę jaką często postugiwano się w poprzednich latach, metodę faworyzowania jednych zespołów kosztem drugich, sztuczne go windowania w górę „mleczki”. Wracam do tego dlatego, iż uważam, że oceniając aktualnie ruch amatorski, zmiany w nim zachodzące, trzeba sięgnąć do przyczyn, które spowodowały taką wia-

twory produkcyjne. Przy okazji uniknął się w ten sposób „ustawiania”, które położyło niejednemu zespołowi większe szanse na zajęcie lepszego miejsca.

Podjęto w stosunku do wielu zespołów, czeplanie się lada drobnostek, bezdušność, błędna i głupia polityka personalna, wszystko to doprowadziło do tego, że poza kilkoma hojnie obdarzonymi pieniędzmi zespołami, ruch amatorski mimo ładowania poważnych sum w domy kultury i tzw. wzorcowe świetlice prawie nie istniał. Pisze mój sąsiad z tej kolumny o Odrzykoniu. A przecież właśnie ten zespół istniejący od kilkadziesiąt lat rozpadł się nie z powodu „odnowy”, ale na skutek złośliwego przeniesienia do innej miejscowości jego kierownika — Urbanka.

**Z**miany zachodzące od pewnego czasu w naszym życiu, wniosły świeży powiew także w dziedzinę kultury. Zrezygnowano z ustawiania, niezdrowego finansowania fałszywego amatorskiego, upolityczniania i niaczenia zespołów. Uzyskały one pełną swobodę działania i samodzielności. Na zasadach dobrowolności i prawdziwego zainteresowania nastąpił ożywiony rozwój ruchu amatorskiego, który ilościowo różni się z dnia na dzień.

Wyłoniła się zasadnicza potrzeba — zmiana repertuaru. Drgęte pozycje odpadły. Utwory „klasyczne” były ograniczone lub niedostępne. To, oraz wrodzona Polakom przekora i ciąg do wszystkiego co zakazane, spowodowało, że przypomniano stare, zabronione poprzednio sztuki. Tym bardziej, że teoria głosząca, iż sztuki produkcyjne wpływają na podniesienie gustu publiczności, a przede wszystkim samych amatorów, okazała się w praktyce cczą gadaniną. Stąd tu i ówdzie niezbyt dobrze o guście zespołu świadczą tytuły na afiszu.

(Ciąg dalszy na str. 3)

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Władysław St. Reymont

pani być moją żoną? Pani mnie nie kocha!...

Ukląkł raptownie przed nią, schwycił ją za ręce i okrywając je pocałunkami, prawie przez lzy strachu gorączkowego, zaczął ją błagać tak silnie, że chwilami zatrzymywał się, aby zaczerpnąć powietrza i zebrać myśli.

— Nie kocha mnie pani?...  
Pekocha mnie pani. Przysięgam, że ja i matka moja, i ojciec będziemy jej niewolnikami... Poczekam wreszcie... Niech pani powie, że za rok... za dwa... za pięć... będę czekał. Przysięgam pani, będziemy czekać... Ale niech mi pani nie mówi, że nie... Na miłość Boską, niech mi pani nie mówi tego, bo się wścieknę z rozpaczy. Jak to?... nie kocha mnie pani... ale ja panią kocham... my wszyscy panią kochamy... my nie potrafimy już żyć bez pani... nie... Ojciec mi powiedział, że... a tutaj... Jezus Maria! ja się wścieknę!... Co pani robi ze mną... co pani robi...

Porwał się z ziemi i chwytając się za głowę rozcochrana krzychał prawie z bólu.

Janka miała lzy w oczach i żal się jej robiło; ta jego szczera i taka prosta rozpacz, objawiająca się tak targająco, podzialała na nią dziwnie.

Była chwila, w której poczuła we własnym sercu te lzy jego i rozpacz — i jakaś sympatia litosna targala ją, że już odruchowo podać mu chciała ręce i powiedzieć, że będzie jego żoną — ale to trwało krótko.

Stała znowu ze łzami rozczulenia w oczach, ale z obojętnością w sercu i patrzyła się zimno.

— Panno Janino, błagam o odpowiedź... Niech pani pomyśli, że odmową zabija pani mnie, matkę moją, ojca, wszystkich...

— Wolaliby pan, żebym ja się zabiła dla wszystkich — odpowiedziała chłodno i usiadła z powrotem.

— A... wyrwało mu się z gardła i odchylił głowę nieco w tył, jakby z obawy, że sufit runie natychmiast.

Machinalnie zerwał rękawiczki z rąk, podarł, a rączkę poszarpał je i rzucił na podłogę, zapiął surdut na wszystkie guziki, a wreszcie siląc się na spokój powiedział:

— Zegnam panią... ale... że zawsze... że wszędzie... że nigdy... — szepnął z trudem, pochylili głowę i siedli ku drzwiom.

— Panie Andrzeju! — zawołała silnie.

Grzesikiewicz odwrócił się ode drzwi z jakimś błyskiem nadziei w oczach.

— Panie Andrzeju — mówiła prosząco — nie kocham pana, ale go szanuję... nie mogę wyjść za pana, nie mogę, ale zawsze... będę o panu wspominać, jak o człowieku szlachetnym. Pan mnie rozumie, że to byłoby podłością iść za człowieka niekochanego... Pan się brzydzi obłudą — i ja jej nienawidzę. Przebaczy mi pan, ale ja sama cierpię... sama także nie jestem szczęśliwa... o nie...

— Panno Janino... gdybyś tylko... gdybyś...

Spojrzała na niego tak boleśnie, że zamikł i wyszedł wolno.

Janka siedziała jeszcze, patrząc na drzwi, którymi wyszedł — i jeszcze miała w mózgu dźwięki jego słów, gdy wszedł do pokoju Orłowski.

Spotkał się z Grzesikiewiczem na schodach i z jego twarzy dowiedział się o wszystkim.

Janka aż krzyknęła ze strachu, tak ojciec zmienił się strasznie. Twarz miał brudno siną, oczy wysadzone, głowa mu się trzęsa jakimiś poprzez cznymi ruchami.

Usiadł przy stole i cichym, przyduszonym głosem zapytał:

— Co powiedziałaś Grzesikiewiczowi?

— To, co mówiłam ojcowi wczoraj, że go nie kocham i nie pójdę za niego — odpowiedziała śmiało, ale się zlekka tej cichości i pozornego spokoju, z jakim ojciec przemawiał.

## „WYJAZD”

— Dlaczego? — rzucił krótko, jakby nie rozumiejąc.

— Powiedziałam: nie kocham i nie chcę wcale wyjść za męża.

— Głupia!... głupia!... głupia! — syczał przez zaciśnięte zęby i podnosił się z wolna z krzesła.

Patrzyła na niego spokojnie i dawna jej złość wracała.

— Powiedziałem, że pójdiesz za niego... dałem słowo

— Ostatni raz cię pytam! — krzyknął, onieprzytomniony jej odpowiedzią.

— Ostatni raz mówię, że nie!

Orłowski z taką siłą rzucił krzesłem o ziemię, że się rozleciało w kawałki, rozerwał sobie kołnierza koszuli, bo go dusił spazm wściekłości i z poręczą w ręku rzucił się do Janki, by ją uderzyć, ale jej zimny, prawie pogardliwy wy-



że pójdiesz za niego, to pójdiesz.

— Nie pójdę... nikt mnie nie potrafi zmusić... — odpowiedziała ponuro, z mocą patrząc się w b'yszczące oczy ojca.

— Zaciągnę cię do ołtarza. Zmuszę cię... musisz... — wołał głucho.

— Nie!  
— Wyjdiesz za Grzesikiewicza, ja ci to mówię, ja twój ojciec, rozkazuję ci to zrobić! Usłuchasz mnie natychmiast, bo cię zabije!...

— Dobrze, niech mnie ojciec zabije, ale nie usłucham.

— Wypędzę cię z domu... — krzychał już głośno, odzyskując siły i ściskając nerwowo poręcz krzesła.

— Dobrze!  
— Wyrzeknę cię ciebie!  
— Dobrze! — odpowiadała coraz silniej.

Czuła teraz, że z każdym słowem ojca dusza jej twarzenie i nasycza się coraz większą stanowczością.

— Wypędzę cię!... słyszysz?... i choćbyś skończyła u drzwi, nie wpuszczę, nie zechcę nigdy wiedzieć o tobie!...

— Dobrze...

— Janka! ty mnie nie doprowadzaj do ostateczności. Ja cię proszę, idź za Grzesikiewiczem, moja córko, dziecko moje!... przecież to dla twojego dobra, ja chcę tego małżeństwa... Nie masz nikogo oprócz mnie na świecie! ja jestem stary... umrę... zostaniesz sama, bez opieki, bez utrzymania... Janka, tyś mnie nigdy nie kochała!... Żebyś ty wiedziała jaki ja jestem przez całe życie nieszczęśliwy, to byś się ulitowała... — prosił, ale w głosie miał akcenta krzyku i groźby.

— Nie!... nigdy!... — odpowiedziała, nieporuszona ani na chwilę jego prośbą i skargami.

ję!... zabije! — krzychał biegnąc po pokoju jak szalony.

Jego wariatwo wybuchało teraz w całej sile.

Wybiegił potem z mieszkania i widziała przez okno, jak leciał do lasu.

Siedziała głucha, niema, zlodowaciała... Spodziewała się wszystkiego, ale nigdy, że ją wypędzi z domu własny ojciec. Poczuła straszny żal do niego, ale ani jedna łza nie błysnęła w jej oku. Oglądała się nieprzytomnie, bo wleciała slyszała ten chrapliwy krzyk: „Precz! precz!”

— Pójdę precz, pójdę... — odpowiadała pokornym, złamanym głosem poprzez lzy, które jej zalewały serce — pójdę.

Było jej jednak tak ciężko, tak strasznie ciężko na duszy, że siedziała zamierając z bólu zdawało się jej, że to „precz” ojcowskie smaga ją jak prętem żelaznym i że się oblewa krwią mężką...

— Boże mój, Boże! za cóż ja jestem tak nieszczęśliwa?... — zawołała później.

Kręska, która wszystko słyszała, przybiegła do niej, ze łzami w głosie zaczęła ją pocieszać, lecz Janka odsunęła ją łagodnie. Nie tego jej było potrzeba: nie takich słów i nie takiej pociechy!

— Ojciec mnie wypędził... muszę wyjechać... — rzekła dziwiąc się w duszy tym krótkim dźwiękiem, które zamykały w sobie tak wiele.

— Ależ to niemożliwe!... Ojciec się da przeprosić...

— Nie, nie zostaną już tutaj dłużej. Dosyć mam mężką, dosyć...

— Pójdzie pani do wujów?

Janka się zamysliła na chwilę, lecz nagle jej twarz posępna rozjaśniła się blaskiem stanowczości.

— Pojadę do teatru. Stało się!

Kręska spojrzała na nią zdziwiona niby i zaczęła jej odradzać.

— Niech mi pani pomoże pakować rzeczy. Pierwszym pościągami odjadę...

— Osobowo teraz nie idzie do Kielc.

— Pojadę do Strzemieszyc, a stamtąd drogą wiedeńską do Warszawy.

— Niechże się pani namyśli jeszcze... taki krok, to na całe życie. Można później żałować...

— Stało się! Już tak musiało się stać, to i nie będzie inaczej. I zaraz śpiesznie, nie odpowiadając na uwagi Kręskiej, zaczęła się gorączkowo pakować.

## O ludziach

# Paradoksalnie

DZIECIĄK szalał. Bez przerwy jękił wotat: *daj dziadziusiowi papietosia — dziadziusie cie palić; otwórz okno — dziadziusie cie wygładać; posuń się — dziadziusie cie wyplótuwać nóżki...*

Pasażerom huczalo w głowie. Każdy jak jeden mąż przeklinał moment wyboru tego właśnie przedziału. Z przestrachem usunęłam kolorową spódnice, bo właśnie dziadziusie wpadł na pomysł opętanego wyrzucania do góry nóżek w zabłoconych pantoflach.

Mama z ojcem tymczasem spokojnie palili na korytarzu papierosy, posyłając co chwila przez oszklone drzwi zachęcające spojrzenia swemu potomkowi.

Dziadziusie znudzony kopaniem kopyt, nagle wpadł na zbawienną myśl. Zaczęło się latanie, zmuszające siedzących do podkurczania nóg, od okna do drzwi. Stojąc pod drzwiami, despotycznie wrzeszczał do najbliższego: *otwórz dziadziusiowi, ziala!*

Starszawy pan, z męczeńską miną otwierał i zamykał, klnąc w duchu zacinając się wterzeje. Po dobrych 5 minutach sąsiad z przeciwka nie wytrzymał i ściskając skronie wrzasnął:

Usiądziesz ty smarkaczu na swoim miejscu — w tym momencie złapał za skórzaną pas.

Dziadziusie zbaraniał. Z przerażeniem w przebiegłych oczkach, sprytnie lawirując, potoczył się na miejsce pod oknem. Zadrżałam, co będzie. Z hukiem otworzyły się drzwi i stanęła w nich dorodna postać matki.

— Widzisz go, starego dziada, cudze dzieci będzie karcił. Urodź se bachora i dopiero go bij... Chodź perelko do nas, polataj sobie trószeczke. Chodź — rzuciła promienne spojrzenie w stronę syna.

Dziadziusie potrząsnął główką i wymamrotał jeszcze zastrachany: *dziadziusie cie siedzieć!*

Mama, widząc przegrana, dostojnie kiwnęła głową i przytknęła drzwi, dzieląc się z małżonkiem swoimi spostrzeżeniami pod adresem owego dziada, co śmiało wrzasnął na dziadziusia.

Spojrzelismy porozumiewawczo po sobie. Ten odważny z uśmiechem powiedział: *wolę być starym dziadem niż znosić szalejącego dziadziusia. Przytaknęliśmy skwapliwie.*

SPOŻNIŁAM się; w kasie nie było już biletów. Chodząc niezdecydowanie po korytarzu czekałam aż ktoś zrezygnuje.

— Może pani chce jeden bilecik? —

— O, bardzo chętnie...

— Franek, patrz jaki natwój babsztyl!...

URZĘDNICZKA bezradnie rozłożyła ręce: *naprawdę nie wiem, proszę pana, ile trzeba będzie czekać na Krynice. Naprawdę...*

— Niechże pani zrozumie, że nie mam wiele czasu i mógłbym coś za tę godzinę, czy dwie, załatwić — głos mężczyzny podniósł się o ton wyżej.

— No, ale proszę zrozumieć, że mnie jest trudno powiedzieć z góry, kiedy pan uzyska połączenie.

— No to po co pani tu siedzi? — rzucił zgrzyliwie.

— Nie po to w każdym razie, by załatwiać ordynarnych ludzi — trzęsącymi rękami wydawała resztę jakiejś niewieście.

— Proszę się tam posunąć — huknął ktoś z boku.

— Ani mi się śni. Ja mam ważną rozmowę, do tego nie mam wiele czasu, a ta (tu coś wymamrotał pod nosem) nie chce powiedzieć za ile dostanę Krynice. Takie niedojdy posadzą przy aparacie...

Urzędniczka ocierała oczy. Mężczyzna tarasując dościcie do okienka stał wytrwale przeszło godzinę na jednym miejscu, jako p i e r w s z y i n t e r e s a n t i c i a g l e u r a -

(Ciąg dalszy na str. 3)

## LIST Z NAD NILU

Motto:

„Błogostawiony kosz w kieliku nowy, ubogie żytko, licha tatanka, i złote piaski pół Kolbuszowy, i rozżalona w nocy fułarka”. (J. B. Ozóg: „U krewnych w Kolbuszowskiem”).

Nad „wielką rzeką Nil” (bo tak podobano się nazwać wąską rzeczkę, przepływającą przez włości ongiś „pana na Kolbuszowej”, jednemu z hr Tyszkiewiczów po powrocie z podróży do Afryki), odcięte od świata i szlaków komunikacyjnych, „na pagórku niewielkim” leży synne niegdyś i dziś z pięknych, artystycznych mebli miasteczko Kolbuszowa, popularnie „Kolbuszką” zwane.

Mieścina ta, powiatowa (a jakże!), wyrosła z nieprzebytej dawniej Puszczy Sandomierskiej, liczy sobie dobrych

kilkaset, lat a niewiele mieszkańców, według bowiem danych statystycznych z Miejskiej Rady miasto to posiada niewiele ponad 2.000 mieszkańców.

Stąd nic dziwnego, że w mieście tym wszyscy tak dobrze się znają, że jak ktoś kichnie na „Zakościelu”, to już mu cała „Sędziszowska” jednoznacznie „na zdrowie” odpowiada.

Tak! stan rzeczy tworzy wspaniale podatną glebę dla rozwoju samorodnej i typowej dla środowiska „tworzości ludowej”, którą jest plotkarstwo. W dziedzinie tej zatrudnieni są wszyscy mieszkańcy Kolbuszowej bez względu na stan, pochodzenie społeczne, wykształcenie, kształt nosa, kolor oczu i cerę. Plotkują wszyscy. Z talentem, z

premedytacją, uporem, wybitnie, nalogowo i artystycznie.

Bez plotki kolbuszowianie nie wyobrażają sobie codziennego życia. Kochają oni wszelkiego rodzaju „pogaduszki”, które ich szare życie urozmaicają i umilają, przynoszą zadowolenie wewnętrzne, pochodzące z poczucia dobrze spełnionego obowiązku wobec bliźnich, na których suchej nitki się zwykle nie zostawia, kierując się bardzo tu popularną zasadą:

„OBMOWA JEST ZDROWA”

Dlatego i ja pozwolę sobie w tym liście trochę „poplotkować” kulturalnie tzn. pogawędzić na temat problemów kulturalnych naszego miasta.

Gdyby jakimś „obcokrajowcem” udało się (nie bez większych zresztą trudów lokomocyjnych) do nas dotrzeć pozał się Boże — po jakich drogach, zobaczywszy ciche, spokojne i na ogół czyste miasteczko, tonące w zieleni sadów i ogródków „przyzagrodowych” — mógłby pomyśleć, że w tej „osadzie” chyba nic się nie dzieje, że wszyscy tu śpią.

Tymczasem tak nie jest.

Mimo pozorów bezwładu i spokoju, co się tu robi i dzieje.

Jeszcze przed rokiem życie było tu „uregulowane” i „ustylizowane” schematycznie, programowo, produkcyjnie i... bożajow.

Wiew Października wpraw-

dzie zaledwie tylko musnął naszych mieszkańców i ich życie, zaledwie zahaczył swym skrzydłem, ale „musnął”, ale „zahaczył” i zawsze w jakimś sposób przyczynił się do tego, że coś się i u nas zaczyna zmieniać i idzie ku lepszemu — wprawdzie w temple bardzo zwolnionym, ewolucyjnym.

Ten zdrowy ożywcy wiew Października przyczynił się w pewnym stopniu do aktywizacji nie tylko życia gospodarczego, ale też życia kulturalnego i do zmiany w tej ostatniej dziedzinie „stylu pracy”.

Widzimy te zdrowe przejawy choćby w pracy i programie miejscowego radiowęzła.

O ile dawniej w programie audycji przeważały nudne, suche, tasiemcowe, najczęściej rolnicze pogadanki i różnego typu „mobilizujące” sprawozdania z wykonania planów skupu — o tyle obecnie coraz częściej słyszy się inscenizacje, ciekawe wywiady, recytacje wierszy i chór, ba nawet (o zgrozo!) audycje satyryczne i krytyczne.

Niestety o ile „szarzy” posiadacze głośników chętnie słuchają audycji satyrycznych, o tyle niektórzy „czynniki” niechętnie je widzą, a nawet obrażają się. Z tych zdaje się względów ambitni twórcy Zespołu Satyryków przy miej-

# Ruch amatorski: krok naprzód czy wstecz?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ników męczył ze swoim zespołem, przez siebie stworzony utwór o „Poemacie” Fibicha, w którym (utworze) tenże „Poemat”, był w niemożliwy sposób przez tegoż pana kierownika grany i śpiewany.

Nie trzeba chyba mówić, jak duży wpływ wychowawczy mają zespoły amatorskie zarówno na widza jak i na swych członków. W przeszłości być może przesadzono z „upolitycznieniem” programu i samych zespołów, ale czy dlatego obecnie mamy się wyrzec wszelkich ideowych treści w ich działalności?

Nie możemy tego robić. Nie możemy pozwolić ogłupić publiczność i same zespoły bzdurnymi, szkodliwymi utworami. Wręcz przeciwnie, w nowych warunkach musimy wykorzystać wszelkie formy politycznego oddziaływania, w

tym także wpływ wychowawczy ruchu amatorskiego. I tu czeka nas poważna praca.

Na zakończenie moich uwag apel: nie odrzucajmy zbyt pochopnie wszystkich starych metod w pracy zespołów. Oddziały kultury i organizacje społeczne winny faktycznie, a nie nominalnie tylko kierować pracą kulturalną. Należy wyeliminować z repertuaru zespołów szmirę i błazeństwo. Zespołom zdrowym nie rezygnującym z walki o wysoki poziom formy i treści swojej pracy trzeba pomóc zarówno doradą fachową, jak i materialną. Reaktywujmy stare, zażyte zespoły amatorskie. Pędźcie to praca trudna i żmudna, ale wówczas masowy ruch amatorski znów odzyska swój właściwy charakter i będzie zdolny właściwie wykonywać swą funkcję społeczną.

J. Rapacki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Czy jednak jest aż tak niebezpiecznie jak pisze ob. J. R.?

Musimy wziąć pod uwagę, że mimo iż możliwości repertuaru są niewielkie, a pokusa grania pod publiczność wielka, wiele zespołów nie próbuje nawet grać np. „Mundur swatem”. Kilka tygodni temu oylem w Łekach Dukielskich (pow. Krosno). Występowały zespoły z czterech okolicznych wsi. I cóż grano? „Pana Beneta”, „Krakowiaków i górali”, „Pismo urzędowe” (jednokłowa agitka poświęcona walce z analfabetyzmem). Tak jest nie tylko w pow. krośnieńskim.

Oczywiście zagadnienia kłuczu na scenach amatorskich lekceważyć nie można, przeciwnie należy rozwinąć szeroko zakrojoną akcję, która wyruguje z repertuaru naszych zespołów potworne nieraz sztuki. Ale trzeba robić to umiejętnie przez przekonywanie i uświadamianie, a nie przez administracyjny nacisk. Należy rozmawiać z amatorami, podsuwać im inny, lepszy repertuar, a zakazu chwycić się tylko w najbardziej dramatycznych wypadkach. Sądzę, że zalew szmiry naszych scen amatorskich jest przemijający. Mamy przecież w terenie setki działaczy kulturalnych, cieszących się dużym uznaniem i autorytetem społeczeństwa. Myślę, że mogą oni na tym polu wiele zdziałać.

**B**icie na alarm z powodu zaniku regionalnego charakteru niektórych zespołów jest chyba przedwczesne. Sytuacja szlaka nie jest chyba typowa dla całego województwa. Mamy przecież zespoły regionalne w Markowej (pow. Przeworsk), Moszczenicy, Szalowej (pow. Gorlice) i wiele innych. Ale faktem jest, że w tej dziedzinie nie wszystko jest zadowalające.

Wystawienie pierwszej z brzegu sztuki jest łatwiejsze niż opracowanie tańca czy pieśni, a efekt często znacznie lepszy. Dlatego też ogromna większość zespołów idzie „na teatr”. Tutaj jednak musimy zaufać ambicji i wytrwałości ludzi, którzy mają zamiłowanie właśnie do tańca i muzyki, i którzy wbrew wszystkim utrzymują swoje zespoły czy założą nowe. Tym ludziom powinniśmy wyjść naprzeciw. Warto o nich pisać i mówić. Pożyteczną akcją prowadzi rzeszowska rozgłośnia Polskiego Radia, nagrywając audycje z tymi zespołami. To popularzuje i zachęca do dalszych wysiłków.

Wydać mi się, że przy całej niechęci do dawnego systemu eliminacji, można by zorganizować wspólne występy niektórych zespołów regionalnych w Rzeszowie. Niedawno w Łodzi urządzono konkurs kapel wiejskich, z publicznością i na grodamy; impreza była nadzwyczaj udana. Myślę, że podobne można organizować u nas z niemiejszym powodzeniem.

Jestem przeciwnikiem wszelkiego ograniczania samorządu i samodzielności zespołów. Rozwój ruchu amatorskiego może przebiegać prawidłowo tylko wtedy, gdy nie będziemy wtrącać się administracyjnie w wewnętrzne sprawy zespołów. Nie oznacza to absolutnie rezygnacji z wychowawczego, ideowego oddziaływania ruchu amatorskiego. Ale musi ono wypływać z naszego udziału w tym ruchu, z samych jego uczestników. Przecież zespoły amatorskie nie żyją w izolacji, pracują w nich żywi ludzie. Udział w nich zarówno członków partii jak i bezpartyjnych działaczy kultury i oświaty, którzy potrafią wpłynąć na pozostałą część zespołu zadając im o ich tendencjach rozwojowych i charakterze. I w tym, a nie w ogólnym zarządzaniu leży sedno zagadnienia.

K. Tobera

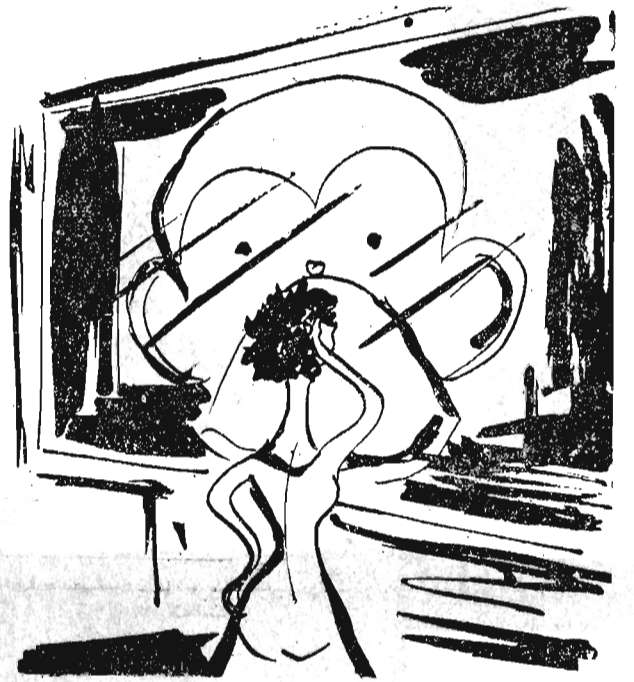
# Jej portret

WŚRÓD mnóstwa masywnych ozdób i kolumn hallu — giganta naszego Prezydium WRN — wystawa „Pochodze nie człowieka” bynajmniej się nie gubi. Jej staranna ekspozycja, wielkie „bicie na czarnym” malowane tablice, masywne gabloty z ciekawymi eksponatami, jakoś „chują tają”. Miliony lat, których dzieje wystawa zamyka, duży ładunek nauki skondensowany w trafnych krótkich opisach nie odbierają jednak wystawie przejrzystości...

WIELKA tablica ze stopowymi malpami, poruszającymi się na tle jakichś wielkich „umownych” drzew, przykuła mój wzrok. Potężna malpa stepowa, w swej równie potężnej łapie trzymająca coś, co swym potężnym kształtem przypominało — o dziwo — „kolumny, które tak bogato zdobiją wejściowe drzwi hall. Swoista droga ewolucyjna... Z niesmakiem odznajdowałam się od tej myśli, przypominając sobie, że i owe kolumny zdołały już obrócić w potężne brody, uwieczniane

gle ciepłym, tajemniczym blaskiem. Dama z pieczołowitą uwagą poprawiała drapowanie wulki na kapelusiku — donicy i ruszyła dalej. Tym razem gablotka z rekonstruowaną głową małpy stepowej i odlewem żuchwy pracowniaka przykuła jej uwagę. I znówu to badawcze spojrzenie „przed siebie”, znówu odcięcie twarzy, błysk fiołkowych oczu, pogłębiony szklany czernią gablotki. Teraz pani pieszczotliwym ruchem pogładziła kotłownicę z puszystego lisa i — nie myśląc widać, że ktoś jest w pobliżu — wprawnym ruchem przejechała kretdką po wargach. Po tym, zgrabnym krokiem, nie oglądając się już ani w prawo ani w lewo, dama szybko przecięła hall i skierowała się masywnymi schodami gdzieś w wyż gmachu, ku sobie tylko wiadomym wydziałom, sprawom, czy tylko znajomym.

ALEŻ u licha, przecież ona niczego nie oglądała, ona tylko siebie widziała w tych gablotach, jak w lustrze. I obok tej myśli, błę-



każdego tygodnia prawie na łamach całej nieomal prasy, nie mówiąc już o setkach pocztówek, kolportowanych na szczęście tylko w Rzeszowie.

Z poza zwartej grupy uczennic, grzecznie słuchających objaśnień o wystawie, wyłoniła się nagle pewna pani — znana w mieście elegantka — której nigdy jakoś nie podejrzewałbym o ciekawość badając zainteresowań tego rodzaju z a j u. Z głęboką uwagą upatrywała się we wnętrze jednej z „gablotek” „Czaszka dwunożnej małpy”, „odlew czaszki szympansa” — objaśniał napis. Z największym zainteresowaniem dama przypatrywała się ekspozycjom. Starannie wypolerowane szkło gablotki, niczym lustro, odbijało jej starannie umalowaną twarz, pracowicie spiętrzoną grzywkę. Banalne kłipsy w jej uszach w odbiciu szklanej tafli zaśliznęły na-

snęła mi zaraz inna: czy oglądała ekspozycje — owe dwunożne małpy stepowe od których wywodzi się człowieczy ród, czy też oglądała tylko swoje odbicie, tak czy owak ujrzała w skrócie, poprzez miliony lat swoje d z i e j e: na czaszce dwunożnej małpy stepowej, na żuchwach pracowniaka „malowane” odbicie swej, jak by nie było, powabnej ludzkiej twarzy.

NIEZMIERNIE zadowolona z tych obserwacji, próbowałam w domu spisać je na maszynie. Mój mąż, z którym m. in. dziele również i maszynę do pisania, zaraz oczywiście zażądał zwrotu tego bezcennego narzędzia dziennikarskiej pracy. A zagladając mi przez ramię, pogodnie zauważył: Nie rozumiesz tylko, dlaczego opisałaś to w twojej o s o b i e?...

M. BOGUSEAWSKA

# Nie trudno zgadnąć

LOGOGRYF LICZBOWY

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
15	37	40	11	50	52	18	58	28								
274	14	41	554	244	5	51	36	45								
9	33	307	449	5	20	29	22									
2617	12	31	544	509	52	4	45	42	23							
6	8	16	46	1	39	34	21									
49	56	47	7	19	52	53	57									

Wpisać pionowo według podanych znaczeń 17 wyrazów na przemian ośmio i siedmio literowych. Odpowiednie litery ustawić według naturalnej kolejności liczb 1-37 dażda w rozwiązaniu urywek ze znanego wiersza Juliusza Słowackiego.  
Znaczenie wyrazów: 1. Kłopoty. 2. jej tydzień trwa właśnie. 3. może być senne i na jawie. 4. największy skarb człowieka. 5. przykre uczucie spowodowane nieobecnością bliskiej osoby. 6. nadaje ja radio. 7. święto osobiste. 8. świątynia. 9. zastrzyk. 10.

przysiężenie, 11. zle wspomóc, 12. ilość większa niż przewidziana lub potrzebna. 13. beznadzie, brak nadziei. 14. żył los. 15. nieugięty zwolennik pewnej idei. 16. zroszenie. 17. okręt pustyni.  
Za rozwiązanie tej zagadki przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział Redakcji „Nowin Rzeszowskich” w Przemyślu, gmach MRN, z dopiskiem: „Rozrywki umysłowe”, przeznaczona są do rozlosowania trzy nagrody książkowe.

## ZWYCIĄZCY „TURNIEJU SZARADZISTÓW”

Zgodnie z warunkami podanymi w Nr 1 (345) ogłaszamy wyniki turnieju, który objął 10 kolejnych numerów „Nowin Tygodnia” (1-3 i 5-11). Ilość punktów za rozwiązanie wszystkich 20 zagadek wyniosła 55 i te uzyskał zdobywcy nagród głównych:  
I. August Gliński — Sieniewa (bony książkowe na kwotę 100 zł).  
II. Józef Kozak — Pustków, powiat Debica (80 zł).  
III. Kazimierz Pach — Poręba-

ka Użewiska, woj. Kraków (40 złotych).  
Nagrody pocieszenia (po 20 zł) otrzymali: I. Izabella Kurkowska — Rzeszów, pow. Mielec, II. Stanisław Bożek — Budziszów, pow. Rzeszów, III Stanisław Pilczak — Rzeszów.  
Nagrody wysłano 17. IV. 57 r. Prosimy o potwierdzenie odbioru — najwygodniej wraz z kolejnym rozwiązaniem.

## LIST DO REDAKCJI

W związku z wydrukowaną w „Nowinach Tygodnia” w dniu 27. IV. 1957 r. nr 16 recenzją Pani Ireny Pitulanki pt. „Teatr w terenie” (Igrzyski z diablem Jana Drdy w wykonaniu Państwowego Teatru Ziemi Krakowskiej Im. L. Solskiego w Tarnowie), prosimy o sprostowanie, gdyż w dniu kiedy Teatr występował w Przemyślu, rolę Kasi grała Janusza Skubiejaska, a nie jak mylnie podano w recenzji, dublując ją aktorkę Krystynę Jaremczuk.  
ST. KOZIEN aktor

scowym Domu Kultury po jednorazowym występie umilkł i pracę „zawiesił na kolku”. Czego się bowiem nie robi w naszym miasteczku, by się nie „narazić” i „dla świętego spokoju”?

Rozkrecała się też praca w PDK. Pracują tu różne zespoły artystyczne: chór mieszany, chór męski, zespół teatralny, zespół taneczny i kapela ludowa.

Chór nie tylko „obsługuje” po dawnemu wszystkie akademie, ale wystąpi w czasie tegorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy” w Kolbuszowej, da koncert w Sokolowie na „kiermaszu kultury”, planuje też koncerty w Kolbuszowej, Sokolowie, Górnicy i Raniszowie. Kierownikiem tego zespołu, prof. Józef Jęboński jest pierwszymy pedagogiem w zakresie muzyki i śpiewu i dyrygentem.

Zespół teatralny niedawno wystąpił z premierą komedii Moliere’a pt. „Szelmostwa Szkapena”, dał dwa przedstawienia w Kolbuszowej i trzy w terenie (Górnicy, Sokolów i Raniszów). Obecnie w swoich dwóch sekcjach — zespołach przygotów do dwóch sztuk. a to: Fredry „Pana Beneta” w reżyserii Lenarta Władysława i Dychawicznego „Studentka miłość” pod kierownictwem niżej podpisanego. Występy zespołu teatralnego cieszyły się zawsze w naszym mieście i na wsi dużym powodzeniem. Ostatnio dość często gościł w wytworze Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej i Teatru Ziemi Krakowskiej w Tarnowie oraz innych zespołów amatorskich złożyli koncert temu zespołowi, od którego nasza publiczność kolbuszowska wymagać zaczyna tego samego poziomu, co od teatru zawodowego.

Słabiej pracuje zespół taneczny i kapela ludowa, która nastawia się na występy dla publiczności, a raczej na zarobkowe „obsługiwanie” wszystkich miejsc-

wych i pozamiejscowych zabaw tanecznych.

Dzięki inicjatywie nowego kierownika Oddziału Kultury i przy wielkiej pomocy aktyw kulturalnego z kierownikiem PDK Zenonem Stępnem na czele, interesująco przedstawia się program tegorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy” w Kolbuszowej i powiecie oraz „Kiermaszu Kultury”, który odbędzie się 15 maja, a na który złożyła się m. in. wystawa rzemieślniczo-sokołowskiego, występy artystyczne zespołów, teatr kukielki z Jarosławia, wesołe miasteczko, kino pod gołym niebem i zabawa ludowa, a wszystko na tle konferencji pracowników kultury województwa rzeszowskiego.

Ten „ruch kulturalny” wypływa z tradycyjnej „aktywności” wprawdzie („Dni Oświaty, Książki i Prasy”, Festiwal w Moskwie”) ale niemniej jest on bardzo pożyteczny dzięki swemu wciągnięciu do „roboty kulturalnej” szerokiego rzesz społeczeństwa naszego i młodzieży, dzięki swemu aspektowi propagandowemu celów i zadań pracy kulturalnej na naszym terenie.

Myślę jednak, że osiągnięcia tych „akcji” i „zapalu kulturalnego” tych Dni pozostaną na dłużej i wytyczą kierunki pracy na resztę bieżącego roku.

Dodatnim objawem naszych dni dziennej przemiany jest widoczny w całym kraju ruch postępowej inteligencji, która organizuje się i aktywizuje w two-

rzonych przez siebie kołach i klubach młodej inteligencji. I u nas była taka inicjatywa — by kota stworzyć, ale jakoś ugrzęzła ona i nie o tym już nie słychać. A szkoda. Może dlatego, że większa część naszej inteligencji miejscowej jakoś dziwnie zaskepila się (jakby powiedział Skarga) w swoich pojedynczych pozycjach, prowadząc życie w otoczeniu domowym i nie ma odwagi czy raczej nie chce wyjść na spotkanie życia społecznego.

Ujemnym przejawem życia kulturalnego jest renesans szmiry teatralnej, na którą rzucają się wcale liczne zespoły amatorskie, zwłaszcza wiejskie. O ile w okresie minionym przeważał w teatrach amatorskich schematyczny „produkcyniak”, o tyle dzisiaj obserwujemy odradzenie się widowisk o tematyce religijnej, widzimy sztuki a raczej sztuczdyła nie mające absolutnie nic wspólnego z prawdziwą sztuką teatralną, a grające nie na uczuciach estetycznych widza, lecz na jego uczuciach religijnych przy pomocy dość prymitywnych (a czasami wulgarnych nawet) teatralnych, a raczej pseudoteatralnych akcesoriów. Czy takie „sztuki” bez wartości artystycznych, niesceniczne, najczęściej pełne werbalizmu i patetycznego gadulstwa przyczyniają się do podnoszenia kultury w naszym regionie? Chyba nie. Przypominają raczej zarówno swą treścią i oprawą sceniczną oraz tendencją, sztuki teatralne z dawnych „dobrych” czasów średniowiecznego scholastyzmu względnie repertuar konwiktowych,

jezuickich szkolnych teatrzyków. Myślę, że ten „ruch teatralny” szybko przeżyje się i przemienie, a na nasze amatorskie sceny wejdą ostatecznie naprawdę sztuki, o nieprzemijającej wartości artystycznej i kulturalnej.

Dużo się dziś mówi o aktywizacji małych miasteczek. Do takich bezspornie należy Kolbuszowa, której mieszkańcy marzą o kontakcie z „szerekim światem” i tej „lepszej przyszłości”.

O tej lepszej przyszłości gospodarczą i kulturalną, o tej aktywizacji naszego małego miasteczka myślą i piszą dwaj pisarze, których wydała nasza ziemia. Mam tu na myśli poetę z Nienadówki rodem Jana Bolesława Ozga oraz młodego, a coraz bardziej znanego krytyka, który wyszedł z Kolbuszowej: Włodzimierza Maclaga, popularnego krytyka krakowskiego „Życia Literackiego”, autora rozprawy pt. „O pisarstwie Marii Dąbrowskiej”. Ożóg był już u nas w ramach „Dni Oświaty, Książki i Prasy” bardzo serdecznie przyjmowany przez swych „krajaków”. Czy by nie należało zaprosić na spotkanie ze społeczeństwem rdzennego tu byłaby kolbuszowskiego Włodzimierza Maclaga?

O tym powinny pomyśleć „czynnikami młarodajne” naszego miasteczka. I zapewne pomyślą.

MICHAŁ CZARTORYSKI

# O ludziach Paradoksalnie

(Dokończenie ze str. 2)

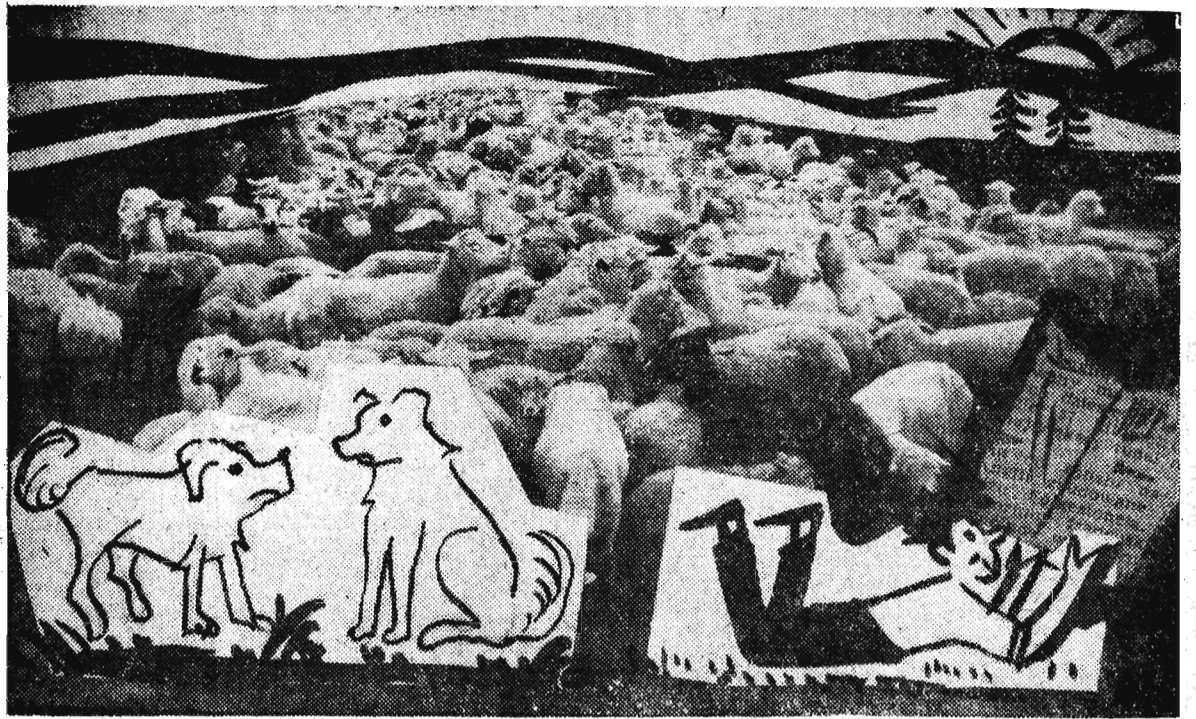
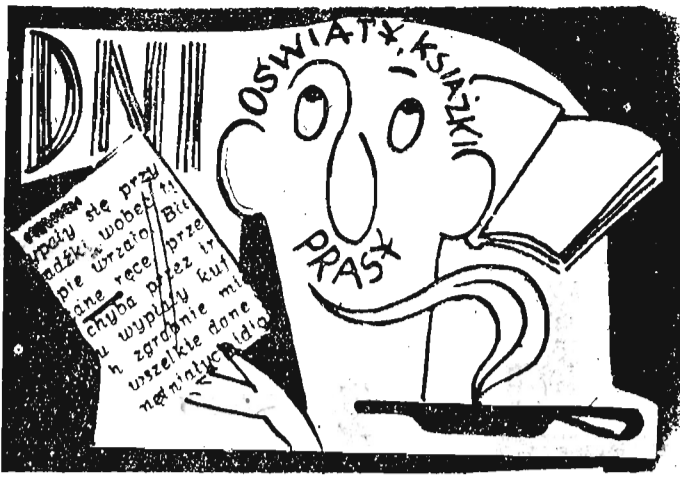
gał telefonistka. Nie wiem jak wytrzymała do czasu, kiedy mogła zawiadomić drżącym głosem: Krynica, do drugiej.

Popędził szybko do kabiny, skąd po chwili rozległ się jego głos, zmientony złością:

— Lunia? Jak zajęchała kochana? Tak bardzo się niepokoiłem... Co? Wybacz kochana, ale przecież musisz zrozumieć moją miłość... tak maleńka... oczywiście, że przyjadę. No, powiedz, zadowolona jesteś z pokoiu?... Co, brak ci mężusia? Przyjedzie, aniele przyjedzie. Muszę kończyć kotunia, bo ta wydra — telefonistka gotowa mi policzyć Bóg wie ile za tę rozmowę. Dłaczego? Ze złości, kotku po prostu, bo ją tu trochę odjeżdżałem, ze się guzdrze i nie chce mnie polaczyć z moim aniołem. Pa malenka! Uwagaż na siebie... Całuję rączyny...

Wydra — telefonistka przez dwie godziny miała zaplakane oczy.

ŚWIERSZCZ



Nasz pán czyta teraz tyle gazet, że cała praca spada na nas.



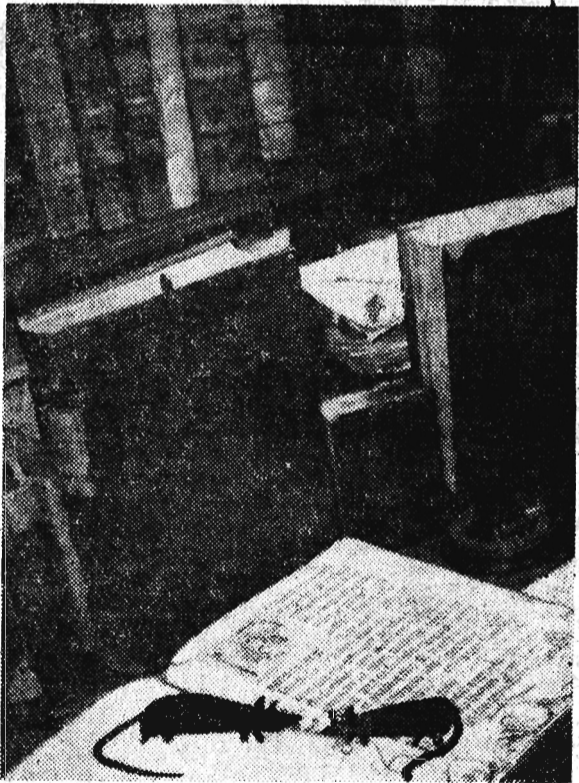
Niektórzy sprzedawcy tak sobie wyobrażają swój udział w „Dniach Oświaty, Książki i Prasy”. „Uplynniamy” niechodliwe tekstylia i książki.



BEZ PODPISU



Ten pan też czyta... dowcipy zamieszczone na tej kolumnie.



— Ja skończyłem „TRYLOGIE” od jutra zabieram się za „DZIADY”.



BEZ PODPISU



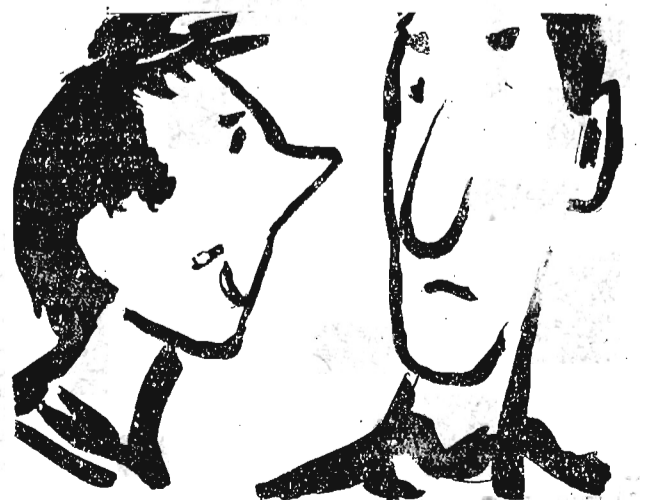
W KSIĘGARNI: Jest coś „Saganki”? — Saganki obok w sklepie z naczyntem.



Cóż z tego, że kupiłaś „Pielęgnację niemowląt”, skoro nie mamy dotąd „Matżeństwa doskonałego”.



Tyrmand mnie już nie bawi, wolę Hłaskę.



Czy czytałeś „Złego”? — Oj, ostatnio tyle złego czytałem.